

SERIA *Smak dorosłości*

UKAZAŁY SIĘ:

Jest super!

Wyznania pizzonosza

W PRZYGOTOWANIU:

Wirtualnik egoistki

Katarzyna Lewcun

WYZNANIA PIZZONOSZA

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

MAM DWADZIEŚCIA jeden lat i jestem dostarczycielem pizzy. Wcale nie dorabiam sobie w ten sposób dorywczo, nie studiuję równoległe jakiegoś przemądrego kierunku typu marketing i zarządzanie ściemą, nie mam ambicji, by za parę lat mówiono do mnie „szanowny panie kierowniku”. Nie cierpię nosić krawata, na własnej studniówce pozbyłem się go już po uroczystym odtańczeniu poloneza i utopiłem w chowanej skrzętnie pod stołem wódce.

Jak łatwo się domyślić, rodzice nie są zachwyceni moim wyborem. Mama jest lekarką, tata nauczycielem, wyobrażali sobie zawsze, że ich dzieci „coś osiągną”. Zresztą Idka, moja starsza siostra, nie zawiedzie ich pod tym względem – ta rozsądna i spokojna dziewczyna ma w planach zrobienie doktoratu. Nie jest ona kompletną nudziarą, ale niestety to typ naukowca (niestety dla niej: to odstrasza mężczyzn). Mam nadzieję, że wyraża normę za nas oboje i dlatego ja postępuję po swojemu, nie zważając na rodzicielskie utyskiwania. Okrutne i samolubne jest moje młode serce. Niech będzie, że jestem czarnym baranem tej rodziny.

Z mojej roboty da się wyżyć, naprawdę. Oczywiście dzięki sowitym napiwkom, które otrzymuję. Zawdzięczam je po części niewątpliwemu urokowi osobistemu, ale głównie mej urodzie. Może to nieskromnie, może to nawet niemęsko, ale muszę wyznać, że jestem niesamowicie przystojnym młodzieńcem: coś jak młodszy brat Martina Schmitta, tego skoczek narciarskiego. Mam metr osiemdziesiąt wzrostu, czarne włosy i czarne oczy. Zęby białe jak z reklamy pasty (jak to możliwe przy potwornych ilościach coli i kawy, które wypijam?). Twarz pociągła, szczupła, rysy regularne. Nad muskulaturą można by jeszcze nieco popracować, ale kaloryferek na brzuchu prezentuje się nieźle. Nogi proste, średnio owłosione. Nie narzekam na swą powłokę zewnętrzną. Mówią, że wyglądam chłopięco i łagodnie, co mnie nieco drażni, bo jak inaczej miałbym wyglądać w moim wieku? Jeszcze parę lat i z pewnością nabiorę nieco twardszego, szorstkiego wyrazu. Bardzo mnie cieszy fakt, że niemal wszystkim się podobam (mówię poważnie i bez cienia przesady, nie myślcie sobie, że jestem jakimś narcyzem!), ale równocześnie wiem, że uroda ustawiła mnie tak a nie inaczej w życiu – wpłynęła na mój sposób bycia, światopogląd, a także na to, jak traktują mnie ludzie. Smutne to trochę, nieprawdaż?

Ale, ale, zapomniałem się przedstawić, wybaczenie niedopatrzenie. Mam na imię Mateusz, nazwisko po tacie, miło mi was poznać. Ksywki: Mati, Matik, M&M's (bo lecę w kulki), a także Ciacho – to ostatnie, nadane przez liczne wielbicielki, nie należy do moich ulubionych.

Mam nadzieję wykonywać mój zawód najdłużej jak to będzie możliwe – do czterdziestki, albo przez całe życie, na razie tak długa perspektywa czasu to co prawda czysta abstrakcja, trudno mi sobie wyobrazić siebie z posiwiałymi włosami, albo co gorsza łysiejącego i radośnie popylającego na moim motorze z kartonem gorącej Margerity... Ale wieście, że to, co robię, jest arcyciekawe. Zwykli pizzonosz ze mnie, a tyle się już natrzyłem, nasłuchałem, tyle wychyciłem fragmentów historii ludzkiego życia... Jestem kimś, kto pojawia się na chwilę, na moment, obserwuje i znika, zanim zwrócą na niego uwagę. Taki ze mnie kronikarz wydarzeń codziennych, błahych, bywa, że śmiesznych, bywa, że tragicznych. A że pizzę jedzą w dzisiejszych czasach już chyba wszyscy (łączy pokolenia, niesie pokój w odwiecznej wojnie płci, godzi zwaśnione opcje polityczne, wivat pizza!), to mam w swojej galerii nieskończoną kolekcję ludzkich typów.

Na przykład staruszki, które pogodziły się z nowoczesnością i są z nią nawet za pan brat. Nie tylko przekonały swoje wiekowe żołądki, że pizza jest zdrowa i smaczna, ale także udało im się sprawić, by ich koty (najwierniejsi, a czasem jedyni towarzysze ich dni) też polubiły ten przysmak. Jedną z takich przemiłych pań ośmieliłem się nawet pochwalić za odważny kolor włosów (szarawy błękit to jak na osiemdziesięciolatkę niezły wyczyn). No i kulą w płot, okazało się, że miała to być docelowo atramentowa czerń, tylko jakoś farba źle chwyciła i nie pokryła siwizny. Ale napiwek i tak dostałem, uśmiech gwiazdy filmowej robi swoje.

Czasem dzwonię do drzwi i otwiera mi kompletnie zaskoczony facet. „Pizza? Jaka pizza? Ja nie zamawiałem...” W tym momencie w tle rozlega się chichot diabelskiego bachora. A zaraz potem głos kobiety: „Daj spokój, Franek, jak już przywieźli... Zresztą mielone i tak mi się przypaliły. A ty marsz do pokoju i szlaban na telewizję. Co to dziecko jeszcze wymyśli...” Wtedy komentuję w duchu: „kto wie, może następnym razem synek zadzwoni na przykład na zero siedemset... dopiero będzie niespodzianka”.

Biedniutki są bulimiczki zamawiające w chwilach załamania ilość jedzenia, która wystarczyłaby dla pięciu utrudzonych robotników. Otwierają mi drzwi ubrane w zakrywające wzdęte brzuchy szerokie bluzy czy swetry, spod których wystają ich chudziutki jak gałązki brzozy nogi. Kiedy regulują rachunek, nie patrzą mi w oczy, spuszczaają wzrok i czerwienią się upokorzone. A moją meksykańską na podwójnym cieście zagryzą potem setką tabletek przeczyszczających. Gorzki deser dający im słodkie ukojenie. Te same dziewczyny migną mi czasem na ulicy: świetnie ubrane, perfekcyjnie wymalowane, obnoszące sztuczną pewność siebie w charakterze tarczy przed światem. Kiedy mam zamówienie od jednego z tych papierowych motylków, często marzę, by któraś z nich zobaczyła we mnie wybawienie, rycerza na białym koniu, który pomoże wydobyć się z koszmaru. Ale to tak nie działa. Jestem przecież świadkiem ich upadku, kojarzę się źle.

Często wożę pizzę maniakom komputerowym. Przypominają kosmitów. Albo raczej białawe, wiotkie glisty. Wzrok mętny,

przebiegają nerwowo palcami, czując się nieswojo, chwilowo odłączeni od klawiatury. Istoty te nieczęsto oglądają światło dzienne i wdychają świeże powietrze. Wirtualne krety, ot co!

Żaden tam ze mnie socjolog ani statystyk, ale z moich obserwacji wynika, że jedzenie na wynos często zamawiają samotne pracujące matki. Lubię te kobiety. Jakies takie trochę roztrągnięte, zabiegane, nawet ciut nerwowe, ale zazwyczaj bardzo życzliwe i sprawiające wrażenie inteligentnych. Z jakimiś służbowymi papierami pod pachą i z plasteliną we włosach (widać nadrabiają zaległą zabawę z latoroślą, kiedy tylko mogą) odbierają ode mnie karton i uśmiechają się miło. Jak znam życie, będą potem jednocześnie jeść, karmić potomka, jednym okiem zerkać w telewizor (gdzie leci dobranocka), a drugim w teksty, które muszą przejrzeć do pracy.

Raz otworzył mi drzwi skwaszony, chmurny jegomość. Od progu warczał jakieś tłumaczenia: „Zwykle takich świństw nie jadamy, to gówno jest, ale żona obiadu nawet zrobić nie umie porządnie, zupa znowu przesolona...”. Już miałem się wyrozumiale uśmiechnąć, kiedy w korytarzu mignęła mi postać kobiety z podbitym okiem przemykająca do łazienki. Przesoliła, to przysolił. Takie to proste. A najgorsze, że przecież nie mogę się wtrącać.

Najwięcej zamówień mamy od młodzieży. Balangi, domówki, maratony filmowe trzeba przecież czymś zagryzać. (I zapijać piwem, a jakże). Raz nawet zostałem na jednej takiej imprezie, zaproszono mnie do środka, to skorzystałem, ascetą nie jestem, zresztą to był i tak mój ostatni kurs tamtego dnia. Bawiłem się

świetnie i zjadłem im niemal jedną piątą z przyniesionych dań (wcześniej przez sześć godzin był tak wściekły ruch, że nawet kanapki nie przegryzłem). Tego typu zamówienia są zwykle bardzo obfite i zróżnicowane: nasze pokolenie, wie czego chce. Jakieś zielone obrończynie zwierząt wezmą oczywiście wegetariańską. Kolesie obwiesie coś z dużą ilością czosnku albo cebuli (bleee, a potem się dziwią, że dziewczyny nie mogą znaleźć). Panny „dbam o figurę i cholesterol” zadowolą się sałatkami. A dusze towarzystwa skonsumują podwójną porcję sera (najbardziej lubiane przez innych osoby są zwykle entuzjastycznymi pożeraczami roztopionego żółtego sera, nie pytajcie mnie, dlaczego tak jest, bo nie wiem, ale to fakt).

Po takim wstępie zapewne pomyśleliście sobie, że będę wyłącznie narratorem tej opowieści. Ja – wieczny podglądacz. Że opowiem wam o czyichś problemach małżeńskich, albo że przypadkowo stałem się świadkiem morderstwa. No i błąd! Główną postacią tej książki będę właśnie ja – bo, szczerze mówiąc, jestem najbardziej interesującą osobą, jaką znam (oj, nie krzywcie się, tylko żartowałem... ale nadaję się na bohatera powieści, prawda?).

Wiecie, gdybym chciał, mógłbym być na przykład piosenkarzem. Mam niezły głos, na karaoke zawsze robię furorę. Małolaty wieszalyby sobie plakaty ze mną nad łóżkiem i śliniłyby się na mój widok na koncertach. Miałbym życie jak w Madrycie. Ale wolę być szarym człowiekiem pracy. Karmić głodnych, pocieszać przygnębionych porcjami węglowodanów i tłuszczów nasyconych. W pizzy drzemie moc – ja nią rozporządzam. Ida

twierdzi, że mój wybór zawodu jest wynikiem banalnego buntu młodzieńczego. Co ona tam wie. Nie studiuje psychologii tylko polonistykę, niech się nie wymądrza. Bycie dostawcą pizzy to nie robienie na złość starym, to styl życia. Czy „pizzonosz” to brzmi dumnie?

Dziś jest taki dziwny dzień, nastraja mnie melancholijnie, dlatego zacząłem pisać. Obiło mi się o uszy, że prawdziwa sztuka karmi się nieszczęściem. No to mam zadatki na artystę. Hurra? Raczej nie, mam doła jak stąd do księżycy. I z powrotem. Po pierwsze, ukatrupiłem babcię. Co prawda tylko metaforycznie, ale i tak mi z tym niemiło. Babcia nie żyje od pięciu lat. A rano zadzwoniłem do szefa i powiedziałem, że biedaczka dopiero co zesłała z tego świata i w związku z tym potrzebuję tydzień wolnego. Mam wyrzuty sumienia. Choć moja mama uznałaby, że to niemożliwe, bo ja przecież nie mam sumienia (jak również serca, cienia przyzwoitości i rozumu – jej zdaniem). Kochana babunia zostawiła mi w spadku kawalerkę w samym centrum Krakowa, a ja tak się jej odpłacam...

Potrzebowałem chwili oddechu, przerwy, musiałem się urwać z pracy, bo jakoś mnie nie cieszyła. Jadę sobie brudnym pociągiem do Kołobrzegu. Nie był to chyba najlepszy pomysł, dopadły mnie wspomnienia. Takie kolejowe eskapady stanowiły ulubioną rozrywkę mojej byłej dziewczyny. Tej, która zalała mi za skórę, jak nikt. Rzuciła mnie niespodziewanie, depcząc moje męskie ego, moją szczerą miłość, odbierając mi wszystko. Nie potrafię jej nienawidzić i nie potrafię o niej zapomnieć. Może wcześniej pojawiały się sygnały, że ten związek nie ma szans?

Zastanawiała się na głos, czy mnie kocha i co to naprawdę znaczy kochać? Wałkowała ten temat z jakąś maniacką zawziętością. Wolałbym, żeby nie była wobec mnie aż tak szczerą i uczciwą, żeby kłamała, że znaczę dla niej wszystko... tak jak ona dla mnie, niestety. To już prawie rok od czasu, kiedy jej nie ma, a ja wciąż pozostaję pod jej urokiem. Zła kobieta, bez wątpienia!

Poznaliśmy się na imprezie u Anki. Balanga była średnia. Wódka, browary i muzyka, wszystko niby jak trzeba, tylko że starzy Anki są bogatymi snobami, u niej zawsze trzeba strasznie uważać, żeby czegoś nie zniszczyć, nie poplamić, nie rozbić jakiejś paskudnej porcelanowej figurki. Biedaczka zaprasza gości tylko wtedy, kiedy rodzice gdzieś wyjadą. Snułem się między ludźmi, witałem z nielicznymi znajomymi (Ania jest piekielnie towarzyską, kiedy zbierze swoich ziomków, wychodzi z tego jakaś zwariowana środowiskowa wieża Babel – dresiarze bawią się razem ze studentami filozofii i zawsze, ale to zawsze jest mnóstwo fantastycznych lasek). Kiedy miałem już trochę w czubie, poszedłem do łazienki, żeby postroić miny do lustra (lubię to robić, jak jestem wcięty). Na podłodze siedziała skulona, zapłakana blondynka. Podniosła głowę, spojrzała na mnie. To było zjawisko. Dzieło impresjonisty. Twarz we wszystkich kolorach tęczy: pod oczami i na policzkach czarne i błękitne smugi tuszu do rzęs i cienia do powiek, które spłynęły wraz ze łzami. Czerwona szminka rozmazana wokół warg. Cała drżała i chlupała. Ale te szmaragdowe oczy i waniliowe włosy nie potrzebowały żadnej oprawy, żadnego makijażu, żeby urzekać.

Patrzyła na mnie spokojnie, w ogóle nie przejmując się faktem, że widzę ją taką rozciapcianą, z zaczerwienionym nosem i potarganą. Byłem przyzwyczajony do tego, że dziewczyny w mojej obecności starają się wyrzeć jak najlepsze wrażenie. A ta nic, jakbym był powietrzem. Pomyślałem wtedy: „Nie pójdę z nią do łóżka tak długo, jak tylko będę w stanie wytrzymać. Będę to przeciągać w nieskończoność, żeby wciąż mieć ten moment przed sobą”.

– Czemu płaczesz?

– Wynos się stąd! – rzuciła we mnie rolką papieru toaletowego. Takiego różowego, pachnącego.

– Powiedz, co się stało – poprosiłem cierpliwie. Wyglądała jak autentyczna elfka, wyjęta z innej rzeczywistości. Była aż zbyt piękna, zbyt idealna. Milczeliśmy, mierząc się wzrokiem. Po chwili odwróciła głowę z niesmakiem i pogardą.

– Jak możesz być taki bezwzględny? Widzisz, że mi smutno, ale nic cię to nie obchodzi. Patrzysz na mnie jak cielę, podziwiasz moją urodę, oceniasz... Ja nie jestem kawałkiem mięsa!!! Jestem człowiekiem i nie życzę sobie, żebyś się tak gapił!!!

Wzdrygnąłem się. Furiatka, bez dwóch zdań. Trzeba było wtedy zwiewać, gdzie pieprz rośnie. Ale ja zostałem. Była jak sen, jak cud, nie mogłem z niej zrezygnować, choćby i miała się na mnie rzucić z pazurami. Przeszłowałem z nogi na nogę, niepewny i zakłopotany (stan doprawdy u mnie nieczęsty, zapewniam).

Wtedy księżniczka kapryśnie zmieniła zdanie. Zażądała, żebym przyniósł jej malibu i wtedy możemy sobie pogadać.

Ewentualnie... Wybiegłem szybko, żeby poszukać dla niej drinka, który mógł spełnić rolę magicznego eliksiru miłosnego, cha, cha, cha. W salonie trochę mnie wyhamowało. Okazało się, że brak tak wymyślnych trunków. Ania poklepała mnie pobłażliwie po głowie i powiedziała, żebym nie grymasił jak prima-donna, tylko pił czystą jak człowiek. Wybaczam jej zwykle takie poufałe zagrywki, bo znamy się jak łyse konie, ale tym razem mnie zirytowała. Tamta czeka, może się zniescierpliwic i na przykład zamknąć na klucz w toalecie. Postanowiłem skołować trochę kasy i wyskoczyć do sklepu po ten cholerny likier.

W sępieniu jestem niezły, każdego potrafię podejść z właściwej strony. Uderzyłem do gościa w opadających dzinsach. Rasowy metrostajlowiec, nie pogadasz. Ale i tak spróbowałem.

– Robię zrzutę na dopalacze. Dołożysz miedziaka?

– Bez szans, stary. Nie biorę gówna.

– A czemu?

– Daj spokój, raz spróbowałem, to mnie ściany chciały zgnieść! Powaga, jazda była niehalo. Tak mi zaschło w ustach, że myślałem, że własny jęzor połknę.

– Nie to nie.

W rogu pokoju siedziały na fortepianie trzy dziewczyny i zażerały się chipsami. Wytypowałem je na ofiary. Dwie z nich były tłustawe jak młode foki. Trzecia miała tłuste tylko włosy. Długie, brązowe, spływające z ramion na plecy, sięgały aż po biodra. Oczy jak kasztany, duże i prawie okrągłe. Usta pełne, różowe. Na zębach osiadła żółtopomarańczowa papka z chipsów. Zagadałem chipsiaste. Pulchne zaczęły chichotać i przeszukiwać

torebki, żeby znaleźć jakąś kasę. Ich ładna koleżanka nie zareagowała. Miarowo przeżuwała chipsy z dość zblazowaną miną. Jaka ona dziwna! Twarz Madonny, rzemień zaplątany na nadgarstku i pomalowane na czarno paznokcie. Zaprzagnąłem zostawić tamtą wymagającą płaksę w łazience i poderwać chipsiastą. Zagadałem do niej:

– *I'm nobody! Who are you? Are you nobody, too?*¹

A ona dokończyła cytat:

– A więc byłyby z nas para, i to by się rozniosło zaraz... więc milcz².

I wzruszyła ramionami. Jej towarzyszki od chipsów popatrzyły na nas jak na wariatów.

– Mówił ci ktoś kiedyś, że przypominasz Monę Lizę?

– Nie, jeszcze nigdy mnie tak nikt nie obraził – uśmiechnęła się kpiąco.

Było w niej coś, co mnie przyciągało jak magnes. Może mądry wyraz oczu? Dlaczego kiedy spotykasz tę jedyną, to ziarenko w korcu maku, drugą połówkę jabłka... ona ma cię gdzieś? Powiedziałem sobie w duchu: Mati, chłopie, być może siedzi przed tobą kobieta twojego życia. Taka, z którą będziesz mógł rozmawiać godzinami, ta, obok której będziesz chciał się budzić i zasypiać... – Ale w wyłożonej marmurami toalecie czekało moje marzenie. Dziewczyna ze snu. Przez parę minut zwijałem się wewnętrznie, starając się rozeznac w kłębowisku sprzecznych

1 Cytat z wiersza Emily Dickinson pt. „I'm nobody! Who are you?”.

2 Dalszy ciąg powyższego wiersza w tłumaczeniu Macieja Małeńczuka.